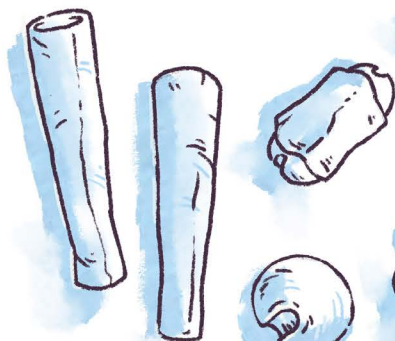
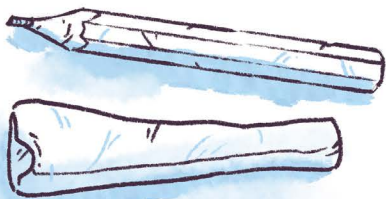


Monika



Mostowik



Zanim



Stane



Się



Lalka



Zapis obsesji tworzenia



NA POCZĄTEK

Noszę w sobie lalki. Rosną we mnie, kwitną, dojrzewają. Kiedy przychodzi TEN moment, rodzę je. W bólach. Nie zawsze jest to moment odpowiedni. Czasem one po prostu ze mnie wypadają. Mimochodem. Kiedy wcale nie jestem na to gotowa. Jeszcze powinny były się przepoczwarzać, ale wychodzą na świat, pośpiesznie, co najmniej jakby ktoś na nie czekał. Od razu mi ich żal, czeka je takie wielkie rozczarowanie, ale muszę im na to pozwolić, choćby ich historia miała trwać zbyt krótko. Gdybym je wszystkie w sobie trzymała, nie pozwoliła im powstać, zgniłyby we mnie, zatruiłyby mnie. Już przez to przechodziłam, udawałam, że ich nie ma, nie otwierałam ust ani oczu, zapijałam je i usypiałam, aż w końcu rzygałam nimi, pozwalałam im ulatywać. Nie pomieściłabym tego wszystkiego w sobie. Naprawdę trzeba mi to wybaczyć, bo zbyt często muszę je tworzyć wbrew sobie.

Zdarza się, że najpierw rodzi się imię. Imię jest tak nośnym słowem, pełnym znaczeń, głębokim jak studnia. Imię kreuje twarz i opuszki palców. Słowo, które przyciąga kolejne słowa, zlepia je ze sobą i wypełnia ramiona, łydki, twardnieje jak płytka paznokcia, zamyka oczy, jakby miały żelazne powieki. Imię to czasem zbyt wiele. Czasem lepiej go nie mieć, nie pamiętać, nie używać. Być anonimową istotą, bo czasem to wygodniejsze, lżejsze. Niekiedy bardzo ciężko jest unieść swoje imię. Może tak przygnieść, że trudno się spod niego wyczołgać. Czasem chciałabym się obudzić rano, zu-

pełnie nie pamiętając, kim jestem. Móc sobie stworzyć nową tożsamość, nie być do niczego przywiązana, nie mieć historii, przypisanego znaczenia, nie być nazwaną. Być nikim, żeby móc być kimś. Kimkolwiek, kimś, kim naprawdę chcę być, albo kim chcę pobyc przez moment, żeby się przekonać, jak to jest. Tymczasem wybieram im imiona bardzo starannie. Dobieram słowa, sylabizując je, dbam o to, jak brzmią, jak wyglądają na piśmie i jak łatwo je można zapamiętać. Ludzie zbyt szybko zapominają, ale też zbyt często pamiętają.

To nieprawda, że najważniejsza jest głowa. Na jednym z moich stołów walają się ciała, do których żadna głowa nie pasuje. Mam też skrzynie pełne głów, którym nie potrzeba niczego więcej. Z takich małych główek robię sobie czasem naszyjnik, co dwie głowy to nie jedna, więc może razem mi powiedzą, kim miałyby się stać. Tak im zazdroszczę, że są puste, lekkie; jak wydrążone orzechy, jak wydmuszki, z których ktoś wyssał zawartość, żeby je uwolnić i nadać im zupełnie inne znaczenie. Chciałabym być wydmuszką, choć jest krucha tak bardzo, że rzadko kto potrafi się z nią obchodzić i najczęściej zgniata ją niechcący w palcach. Lekkość jest ryzykowna, a jednak mam wrażenie, że potrafiłabym z tym żyć. Czasem jednak pakuję im do głowy różne śmieci, wypełniam je nimi po brzegi, aż wypływają uszami, oczami, nozdrzami...

Lalki to nie ludzie, nikomu nie robią krzywdy. A jednak ludzie obawiają się, że coś dziwnego w nich powodują, otwierają w nich jakieś sekretne drzwi, które już dawno powin-

ny być zamknięte, albo nigdy nie powinny być otwierane.
Tymczasem wcale nie trzeba ich wywahać, wystarczy lekki
podmuch wiatru...

TRZEBA ZACEROWAĆ DZIURY

Całe popołudnie cerowałam rajstopy i myślałam wtedy: to wspaniale, że są jeszcze na świecie rzeczy, które można naprawić. Nie wyglądają najlepiej, ale nikt tego nie zobaczy. Grunt, żeby nie zdejmować butów przy ludziach. I chyba o to właśnie chodzi: dopóki się nie rozbierzesz, nikt nie widzi twoich blizn. Można z powodzeniem udawać, że jest się normalną osobą, jak wszyscy - jeść smakołyki, spacerować, śmiać się, żyć. Można udawać, że nikt ci nigdy nie podłożył nogi, aż długo musiałaś się od nowa uczyć chodzić, nie ufając nawet poręczom.

Ludzie myślą, że jak gryziesz kieliszek, i szkło szatkuje ci usta to to cię boli; ale bardziej boli, kiedy odwracają głowę, choć wtedy cieknie mniej krwi i jest to mniej spektakularne. I sądzą też, że rany ciężko się goją, że nawet jak odpadną strupy, skóra pod nimi pozostanie zbyt delikatna, ale nie wierzą, że boli znacznie bardziej, kiedy je rozdrapują, żeby zobaczyć, kto ci to zrobił. Te wszystkie wspomnienia, które nagle w środku nocy atakują znienacka, nawet kiedy zmówisz już pacierz, rzucają cię na kolana i znowu płaczesz, kiedy pękają szwy. Nie ma takich nici, które by to wytrzymały, próbowałam wszystkiego. Trudno to wszystko unieść, w dodatku z podniesioną głową. A jeśli miałabym się czołgać, wolę zostać tu, gdzie jestem, nie ruszać się z miejsca. Wszystko niech sobie idzie, niech się zmienia, niech się toczy, ja tu zostanę.

Oczywiście, że można mnie było spisać na straty. Zamknąć w ośrodku, nafaszerować lekami, sprawić, że będę się poruszać wolniej i nie wyrządzę nikomu szkody, nawet sobie i dzięki temu nikt nie będzie miał wyrzutów sumienia. Chemia czyni cuda, wystarczy mi zaaplikować jakąś końską dawkę uspokajającą, żebym nie wierzgała i będę się uśmiechać, pozytywnie myśleć i nie zbaczać z drogi. Skończą się wreszcie te huśtawki nastrojów, które przecież są nie do wytrzymania. Ludzie potrzebują przewidywalności, aby mogli zaufać i czuć się bezpiecznie. Wreszcie będę sobą, naszprycowaną kukiełką, wystrojoną laleczką, na którą aż miło popatrzeć, a nie jakimś zwierzęciem, które się chowa w piwnicy. W piwnicy mieszkają tylko szczury, ciemnością karmią się tylko demony. Wszystko to jest zanedo podejrzane, lepiej było mnie trzymać w białym pokoju z zabezpieczonym oknem, ale jednak oknem, wychodzącym na ten piękny świat, lepiej było zaryglować drzwi, żebym się nim nie zachłysnęła.

Dbam o siebie. Smaruję każdą bliznę maścią z aloesem, wcieram ją delikatnie, żeby odbudował się naskórek, żeby nie został ślad, który mnie oszpeca. Żebym była czystą, białą kartą, żeby można było zacząć wszystko od nowa. Jeśli nagle dotrze do ciebie, że zmierzasz donikąd, że droga, którą idziesz, nie prowadzi w żadne konkretne miejsce, zawsze można zacząć od początku. Odwrócić się na pięcie i już. Od nowa można się cieszyć wszystkim, poznawać świat jak dziecko, odkrywać do czego służą przedmioty, a do czego ludzie, i znowu się w tym pogubić. Mam krótką pamięć, nowe rzeczy nie zostają we mnie na dłużej. Czasem wydaje mi się, że

nie ma już we mnie miejsca na nic nowego. Że zapchałam się wspomnieniami, zupełnie niepotrzebnymi odpadkami, resztkami. Zostało niewiele miejsca na cokolwiek, tylko drobne szczeliny. Powtarzam sobie, że kropla drąży nawet skały, ale póki co, wszystko, co we mnie wpada, od razu wypada, ulatuje. Niewiele pozostaje. Jakby się przeszczep nie przyjął, wszystko odrzucam, mimowolnie, bo często przecież łapczywie po to sięgam i desperacko chcę gdzieś w sobie upchnąć, żeby zostało na zawsze. Niestety, jestem zbyt oporna. Muszę wszystkiego doznawać od nowa, w kółko, raz po raz. Chciałabym nauczyć się przestać żyć przeszłością. Nie podlewać w sobie wspomnień jak kwiatów, które już nie zakwitną. Trzeba przecież zostawić pole na nowe rzeczy, zasiać coś pożytecznego. Najtrudniej jest pozbyć się korzeni. Wrastają głęboko, oplatają mocno płuca i serce, dlatego ciężko jest mi czasem oddychać. Skoro nie mogę ich wyrwać, staram się nie dopuścić, żeby przebiły się na powierzchnię. Staram się pilnować ich, doglądać, ale także pielęgnować nowe sadzonki. Kiedyś budziłam się i przeżywałam to, co już dawno minęło, jakby się właśnie działo. Wspomnienia paraliżowały mnie, ale i były jedyną rzeczą, którą mogłam przeżywać. Płakałam, myśląc o przeszłości albo śmiałam się w głos. To było jedyne źródło moich emocji, nic innego ich nie powodowało, rzeczywistość nie istniała, bagatelizowałam ją. Ekmnezja w najczystszej postaci. Nie potrzebowałam niczego więcej, wystarczyło to, co nazbierałam już wcześniej, miałam zapasy. Długo musiałam się uczyć wyrzucać z siebie te śmieci, przestać zbierać złotka z czekoladek, w obawie, że już nigdy takiej nie zjem, więc muszę zostawić sobie pamiątkę. Zapach

czekolady i tak zbyt szybko wietrzał, zostawał pusty, zwyczajny papierek, któremu na siłę nadawałam znaczenie, wszystko się działo tylko w mojej głowie, smak czekolady też. Wychodziłam z założenia, że nie należy płakać nad rozlanym mlekiem, jednak musiałam roztrząsać przeszłość, żeby nie powtarzać starych błędów. Ale nagle przyszedł ten moment, że mogłam żyć naprawdę i wziąć się w garść. Zanim stanę się lalką, postanowiłam trochę pożyć. Poczuć coś, doznać czegoś, poznać, posmakować. Chciałam wyjść poza własną głowę, a to nie było łatwe, choć z ciała zawsze wychodziłam bez trudu.

Mam twardą skórę, bo jest pełna zrostów. Zbliżnione miejsca są zgrubiałe i twardsze.

Jednak pod tą skorupą jestem jak jajko na miękko, ale oczywiście nikt się nigdy o tym nie przekona, bo wszyscy wolą jajecznicę. Podaną na talerzu. Przystrojoną świeżą zieloną cebulką i rzodkiewką, rzeźbioną jak babcine filizanki.

Jakby nie można było zamiast tego po prostu wysadzić w powietrze tych wszystkich archeologów, którzy grzebią w przeszłości i wywlekają zwłoki małej dziewczynki, którą ponoć żywcem pogrzebałam, skoro nie mogłam zaprzeczyć, że istnieje. Chodzi o to, że nawet jak wywalisz z siebie te śmierdzące flaki, to i tak będziesz je musiała sobie wsadzić z powrotem i zaszyć jakimś schludnym, artystycznym ścięciem. Nikt ci ich nie zabierze, nie wypierze, nie wyleczy, nie sprawi, że znikną. Poogląda, nadziwi się, może się nawet zain-

spiruje, pożałuje, jaka jesteś biedna, pochwali cię, jaka jesteś dzielna i odważna, że to z siebie wyrzuciłaś, ale i tak musisz posprzątać po sobie i żyć z tą zgnilizną w środku. Trzymać ją szczelnie z daleka od wszystkich, żeby nie psuć komuś nas troju czy deseru.

Wszystkie te bajki o bliskości, intymności i empatii powodują u mnie mdłości. Ludzie są opakowani w worki foliowe. Nawet jeśli się przez nie przedrzesz, zaraz zapakują się znowu. Zdezynfekują i zakleją. Szczelnie zaplombują. Można się dotykać tylko w gumowych, jednorazowych rękawiczkach. Wszyscy musimy o sobie dbać. Świat jest pełen zagrożeń, trzeba uważać, być czujnym i ostrożnym. Jeden błąd może kosztować życie. Niekoniecznie twoje.

Podobno jest we mnie dużo złości i jadu. Skrapla mi się na powierzchni skóry, odsącam go i butelkuję, w razie, gdyby mi się polepszyło. Mam dosyć dopasowywania się do innych, chcę robić wszystko po swojemu. Po cichu, w ukryciu. Te wszystkie złote reguły, zasady, etykiety, konwenanse, są dla mnie zbyt trudne, nie mam czasu ani siły, żeby je przyswajać. Nie przestrzega ich byle przechodzień, pasażer autobusu, sprzedawca, czy recepcjonista, nawet jeśli mu za to płacą. Dlaczego więc ja miałabym się do tego wszystkiego stosować? Dość udawania, że czuję się między ludźmi jak ryba w wodzie. Jeśli nie mogłabym zostać tu, gdzie jestem, obawiam się, że mogłabym zrobić coś złego, na przykład wyludnić jakiś skrawek ziemi, żeby tam móc się schować. Lepiej po prostu zejść mi z drogi, tak jak ja schodzę, do podziemia.

Cała sztuka polega na tym, żeby zarazić się uczuciami innych i żeby innych zarazić sobą. Chodzi o to, żeby się wzruszyć, a nie tylko wzruszyć ramionami. Desperacko chodziłam po galeriach, podglądałam artystów w ich pracowniach, żeby poczuć ten dreszczyk. Skakałam od obrazu do obrazu, żeby poczuć to na nowo. Najgorsze jednak były te momenty, kiedy godziny spędzone w galeriach kompletnie mnie nie ruszały; co najwyżej pokłóciłam się z kustoszem, bo zakazał mi biegać między salami i dziwił się, że tak długo nie wychodzę. Bałam się, że straciłam zdolność odczuwania, że jestem już niewrażliwa nawet na sztukę.

Odkryłam już jakiś czas temu, że nie jest dobrze się zaskorupić. To w niczym nie pomaga. Skorupa pęka. Jak moje lalki, są twarde, ale kruche, zbyt łatwo się rozpadają. Japończycy, naprawiając rozbite przedmioty, wypełniają pęknięte szczeliny złotem, Szlachetnie je uzupełniają. Nie po to, żeby ukryć, co się stało, lecz na odwrót, żeby uwidocznic ślady. Wierzą, że coś, co cierpiało, było rozbite, i ma swoją historię, może być jeszcze piękniejsze.

Jedną taką lalkę posklejałam złotem. Rozbiłam ją w złości, ale teraz jest piękna, choć spękana.

Dlatego czasem moja skóra jest z gumy. Żyję w silikonowym kokonie, którego na pierwszy rzut oka nawet się nie zauważa. Jestem bezpieczna. I jakże elastyczna. Potrafię się świetnie dopasować. Jeśli tylko mam na to ochotę, jestem w końcu giętka, potrafię zdziałać cuda. Oczywiście, że jestem przez to

mniej odporna na ciepło, rozpalone policzki mogą mnie drogo kosztować, ale na tym polega życie. A przecież żyję, nie jestem jeszcze lalką. A może nawet nigdy nie będę, choć to nie dodaje mi otuchy.

Wychodzę na świat, żeby czerpać. Nie mam nic do dania, do dzielenia się, po wszystko sami sięgają, wyszarpują, albo biorą, co się wysypuje z dziurawych kieszeni; czasem sama gubię różne rzeczy po drodze. Ale nie mam też nic do stracenia. W związku z tym nie ma sensu czegokolwiek ode mnie oczekiwać. Na szczęście jednak trafiam na ludzi, którzy chętnie siebie rozdają. Jakby po to żyli, żeby sobą karmić innych, muszą zaistnieć w kimś, w czymś więcej, inaczej nic nie ma znaczenia. Można więc powiedzieć, że jestem dla nich świetną okazją, pożyczam ich trochę i na trochę, inspiruję się nimi, modeluję, koloryzuję. Nigdy nie było jeszcze tak, żeby ktoś idealnie nadawał się na lalkę. Zawsze jest jakiś rozdźwięk. Coś nie gra, nie pasuje, coś psuje resztę, jak narośl, którą trzeba natychmiast usunąć, albo wszczepić, żeby nadać komuś charakter, przełamać jakąś doskonałość. Czasem jest po prostu nudno. Zazwyczaj jest nudno. Rozglądam się, i nie ma niczego, co by mnie zatrzymało w bezruchu, choćby na sekundę. Zazwyczaj wtedy niecierpliwie przebieram palcami i zaczynam rzeźbić, żeby jakoś wypełnić tę pustkę. Można się i czyjaś pustką zainspirować. Patrysz na kogoś, a portretujesz zupełnie innego człowieka. Taki skok w bok.